

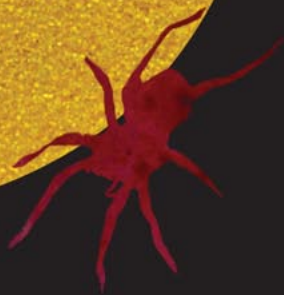
Marta Magaczewska

Banana

ye III I

J

W



JanKa

Bahama
YELLOW

Marta Magaczewska

Bahama
YE T U W

JanKa
2011

© Copyright by Marta Magaczewska, 2011
© Copyright by wydawnictwo JanKa, 2011

Projekt okładki
Anna M. Koźbiel

Redakcja
Janina Rogalska-Koźbiel

Korekta
Jan Wiśniewski

Łamanie
MJK

ISBN 978-83-62247-13-4
Wydanie I
Pruszków 2011

Wydawca
JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
www.jankawydawnictwo.pl

*Ażeby po nas zostały jedynie
Ślady na piasku i kręgi na wodzie*

Leopold Staff

Noc, lecz nie wszyscy śpią

Skomroch nigdy nie potrafił zrozumieć, jak się tu znalazł. Przecież przez całe życie starał się być w porządku; taki, jak to powszechnie przyjęte; taki, jak trzeba, *comme il faut*.

Noc była ciemna, lecz nie potrafił spać. Jeśli dzień był piekłem, to noc przedśmionkiem do niego: było wciąż duszno i temperatura mimo późnej pory niemal wcale nie spadła.

Nie znajdując snu ani lepszego rozwiązania, podniósł się z łóżka, stanął na środku pokoju i zaczął tańczyć boso w rytm muzyki, która brzmiała mu w głowie: *advance and retire, clicks, rocks, seven-step, skip-step, step, three-step, toestands, treble...*

To dla nich nauczył się tańca irlandzkiego, dla nich nauczył się kląć i pić dwunastoprocentowego dätbiera, który mu nie smakował, dla nich układał włosy na bok i do góry, dla nich nosił szkła kontaktowe, które barwiły mu tęczówki na kolor niebieski – bo kolor ten jest ponoć najbardziej lubiany – dla nich rozwierała szeroko oczy, by zyskać zaufanie, dla nich nauczył się nienagannyh manier, dowcipów na każdą okazję, picia wódki i odmawiania jej – słowem, nauczył się wszystkiego, by ludzie czuli do niego sympatię. Odkąd pamiętał, obserwował, jak należy się zachowywać; podglądał i naśladował ludzi; godzinami ćwiczył przed lustrem ich gesty, ich

ruchy i mimikę; uczył się, niczym obcego języka, ich kolokwialnych, modnych i dowcipnych zwrotów: *that's a neat bike you've got there, Jerry, good night sleep tight, don't let the bed bugs bite, quantum materiae materietur marmota monax si marmota monax materiam materiari possit, ça fait chier, vatti a fare una sega, sie es hat mich umgehauen, eres una mamacita.*

Wdziwiał cudze twarze, nakładał na usta cudze uśmiechy, a ciało układał tak, by nie odstawało od innych. Przypominał w tym rycerza, co zbroi się do bitwy, nie po to jednak, by zrobić komuś krzywdę, ale po to, by nie zrobili krzywdy jemu. By go lubili, by uznali za swego. By nie widzieli w nim tego, co widział w sobie on: niepokojącej, ośmieszającej wrażliwości. O nie! Nie chciał przejść przez życie z piętnem odmieńca.

Nie zawsze mu się udawało. Nie zawsze potrafił nad sobą zapanować. Miewał niebezpieczne chwile, w których, choć pilnował sam siebie jak najsurowszy kapo, to jednak wymykał się spod kontroli. Ulegał wzruszeniu; pod jego wpływem wykonywał drobne gesty, mimowolne odruchy, tak nieludzkie w tych czasach. Patrzył na przykład jak głupi w niebo, czuł się nieszczęśliwy, wrzucał drobne do czyjegoś kapelusza, skłaniał z szacunkiem głowę przed starszymi, a nawet myślał o śmierci.

Wszystko to wywoływało u ludzi grymas niesmaku i pełne politowania wzruszanie ramionami. Nic z wewnątrz mnie, powtarzał więc sobie Skomroch, nic z mojego wnętrza nie może zaznać światła dziennego.

Całkiem tak, jakby prawdziwy człowiek w rzeczywistości był upiorem.

W takich chwilach, choć zawsze szybko przywoływał się do porządku, udając, że nic się nie stało, że to niechący, ludzie dziwnie na niego patrzyli i ostatecznie

traktowali go jak trochę niespełna rozumu. Jak obcego. By nie powiedzieć: jak wroga.

To bolało, lecz Skomroch, który nauczył się tać wiele, udawał, że wszystko w porządku. Nie wolno pokazywać się bez maski, powtarzał sobie.

Jak długo można udawać?

Całe życie.

Kiedys jeszcze myślał naiwnie, że może być szczerzy wobec kobiet. Nie żeby uważał je za inne od reszty. Myślał po prostu, że dla zachowania równowagi w tym świecie, w którym liczy się tylko powłoka, dobrze jest mieć przy sobie choć jedną istotę, która wie, jaki jesteś. Samotna wyspa, której plaże podmywają fale fałszu. Powiedzmy: ktoś, przy kim nie wstydzisz się umrzeć.

Gdy zakochał się po raz pierwszy, pewny był, że znalazł się w niebie i że nic nie jest w stanie go z niego strącić. A że ściany niebios nie mogą być gołe, zaraz też zaczął szukać słów, którymi mógłby je wytapetować. Pisał poemat. Pisał poemat wiele tygodni, wciąż i na nowo poszukując najwłaściwszych zwrotów i przeklinając ubóstwo swego języka, wszystkich języków świata. Bo też, stwierdził poniewczasie, miłość postrzega się wszystkimi zmysłami. By więc ją opisać, należałoby użyć tworzywa, które poruszyłoby je wszystkie.

Na fali tych rozmyślań skończył pisać utwór, który uważał jednak za mocno niedoskonały, zwłaszcza w obliczu doskonałości ukochanej. Gdy wreszcie się ośmielił, nabył czerwoną różę oraz pudło czekoladek w znaczącym kształcie serca i z tymi symbolami udał się wprost do niej. Tam rymsnął na kolana i wyrecytował nieśmiało swe dzieło.

Wyczekała spokojnie do ostatniego wersu. Gdy prze-

brzmiała puenta i zapadła cisza, wstała, obciągnęła sukienkę, a następnie rzekła:

– Śmieszny jesteś, misiu.

Właściwie nie wiadomo było, czy to dobrze, czy źle. Zbliżył się więc, wręczył jej różę i pudło, a ona nadal stała, jakby na coś czekając.

– To wszystko? – zapytała.

Skomroch nie rozumiał; patrzył w jej piękne oczy i nie rozumiał, dlaczego widzi w nich gniew. Jakże szczątkowe są ludzkie zmysły!

Więcej jej nie zobaczył. Przyjaciel doniósł mu jeszcze, że nie zamierza ona, jak mówi, zadawać się z ubogimi dziwakami. Potem się pobrali, ale Skomroch nie został zaproszony na ślub.

Z inną dziewczyną, która była mu bardzo bliska, w której – zdawało mu się – odnalazł pokrewną duszę, jechał raz pociągiem i gdy przez uchylone drzwi wypadło dziecko, on rzucił się za nim.

Dziecko miało góra trzy lata i wychylało się niebezpiecznie przez niedomknięte drzwi wagonu. Wir powietrza wciągnął je tak gwałtownie, że błysnęły tylko rozwarte szeroko oczy, a drobne usta nie zdążyły się nawet ułożyć w krzyk „mamo!”.

Skomroch, widząc to, błyskawicznie rzucił się za nim i wylądował ciężko, osłaniając sobą kruche kości malucha.

Wyszedł z tego cało, choć mocno poturbowany. To znaczy zadrapania i rozcięty policzek zagoiły się szybko i w miarę bezboleśnie. Co innego pierś – tam gniotło go coś niemiłosiernie, co jeszcze długo podsuwało mu przed oczy obraz dziewczyny i huczało jej kwaśnymi słowami:

– Skomroch, ty jesteś jakiś inny.

Odeszła oczywiście. Trzeba było pozwolić mu umrzeć, pomyślał poniewczasie. Patrząc, kiwać z troską głową, a potem współczuć, ale ją mieć, małą, samotną wysepkę.

Potem była jeszcze jedna. Gdy Skomroch, sponiewierany, ale wciąż żenująco ufny, odkrywał ponownie uroki zakochania, ona testowała go jak nowy samochód, by ostatecznie stwierdzić, że nie odpowiada jej standardom.

Wtedy przestał nad sobą panować. Z każdą chwilą coraz bardziej tracił kontrolę nad swymi gestami, mimiką i słowami. Był zbolący, a to budziło w ludziach wstręt; gdy się ocknął, było już za późno. Przynajmniej dla ludzi. Ich zdaniem kropla przepełniła czarę. Odtąd coraz częściej wytykali go palcami, śmiali mu się w twarz, a za plecami mówili: „On jest trochę, tego... wiecie”.

I tak wreszcie nadszedł dzień, gdy obok niego nie było już żadnego, nawet najmniejszego, nawet najbardziej fałszywego przyjaciela. Znów trochę czasu minęło, nim zdał sobie z tego sprawę, i jeszcze trochę, nim w to uwierzył. A gdy wreszcie to nastąpiło, poczuł, że nie chce ich znać. Nie chce znać wcale ludzi, widzieć ich na wpół drwiących, na wpół litościwych spojrzeń, że nie chce mieć z nimi, z ludźmi, w ogóle do czynienia, a zwłaszcza że nie chce do nich mówić ani by oni mówili do niego. Każde ludzkie słowo było szyderstwem. Każdy człowiek prztyczkiem w nos od Boga. Zaciął się w milczeniu i nawet jego zdumiało, jak łatwo mu to przyszło.

*

Tymczasem Kauk stał na secesyjnym balkoniku i przechylał się niebezpiecznie. Gdy czuł, że głowa zaczyna ciągnąć ciało w dół, wytrzymał jeszcze chwilę,

Spis rozdziałów

Gdy los zapuścił się do ścieku

7

Noc, lecz nie wszyscy śpią

20

Świt, lecz nie wszyscy się obudzili

39

Gdy powietrze drży

58

Gdy życie zamiera

89

Gdy ludzie szukają winnego

117

Na kogo padnie, na tego bęc

157

Gdy nie ma już czasu

197

Błądny ognek

216